

Jakub Olkisz

Pociąg

Zobaczyłem ją jeszcze przed wejściem do wagonu. Przez szybę w drzwiach świeciła biel odległych ramion. Oślepiający połysk przywoływał mnie, byłem ćmą w obliczu świecy. Przełknąłem ślinę, wypiąłem pierś. Z zamkniętymi oczami wymacałem uchwyt, pociągnąłem. I jeszcze raz. Drzwi nawet nie drgnęły. Szarpałem klamkę coraz mocniej, napinałem każdy mięsień, moje palce pokrywały się pęcherzami. Ponad szumem wzbierającej zadyszki pojawiła się w końcu uległa nuta - skrzypnięcie oznaczało niepodzielnie mały ruch zawiasów. Drzwi uchyliłem w końcu na tyle, by się jakoś przecisnąć. W otwartej bramie rajy zostawiłem bagaż doczesności; sam przedostałem się ledwo bokiem, torba została. Spocony jak świnia, zdyszany i pomięty - wszedłem.

Byliśmy sami, siedzieliśmy na drugim końcu wagonu. Lampy świeciły bez przekonania, to ramiona jaśniały. Podłogą ciągnęła się szarość. Stukot szyb wtórował zamkniętemu za porysowanymi ścianami grzmotowi. Zdążyłem już trochę się napocić, fotele obiecywały komfort. Był to jednak miraż odpoczynku. Wiedziałem, mądrzejszy o niejedną kolejową peregrynację, że w naturze tych zdradliwych foteli leży szybkie rozmyślanie się z gościnności. Wygodne z początku oparcia twardniały, a szerokie zagłówki kurczyły się niebezpiecznie, jakby z zamiarem uduszenia siedzącego. Ślizgawki siedzeń uparcie kierowały na podłogę, o którą zapierały się drżące z wysiłku nogi. Wyślizgane tysiącem łokci podłokietniki, zamiast kończyn podtrzymywały tradycję nieudolnych, podróżniczych póz. Nieprzespane noce i senne dni, skamieniałe karki i zdrętwiałe nogi - wszystko to składamy na ołtarzu pociągowej architektury defensywnej.

Bagaż doczesności nie dawał mi o sobie zapomnieć. Miałem w nim przecież bułki na podróż, a z mojego brzucha coraz głośniejsze rozlegało się burczenie. Spróbowałem wypełnić żołądek towarzyskim upokorzeniem. Z moich burczących trzewi wydobyłem cichy syk. Stopniowo ulegał przemianie w natarczywe rżenie, które utrzymywało się przez nieskończoność sekundy. Próbowałem złapać je w garść płuc i zdusić kaszlem. Udało mi się jedynie jęknąć. Cichnący falset oznajmił światu: oto odchrząknięto na przywitanie.

Ruszyłem do najbliższego miejsca, do końca liczyłem na uniknięcie pytającego wzroku współpasażerki. Ta podniosła jednak głowę. Nie zobaczyłem krótkiej, skłonnej do tektonicznych fałdowań szyi, nie spostrzegłem nieporadnego podbródka. Kształtu nieregulowanych brwi mogłem się jedynie domyślać, nieodgadnioną pozostała również spiczastość nosa. Moim udziałem nie stał się nawet dający ostatnią nadzieję rumieniec. Wszystko to przykryły ciemne oczy. Wypląnęły poza ramę twarzy, pokrywały: białe jak śnieg ramiona, mnie i wszystko wokół. Do końca opierałem się pochłonięciu przez to spojrzenie, w desperacji chwyciłem nawet oburącz podłokietnik. Okazał się on jednak zbyt wyslizgany tysiącem łokci zawieszonych w nieudolnych, podróżniczych pozach. Wpadałem w oko, zdrowy lot szybko ustąpił nieważkości bezruchu.

Zapadła cicha, bezgwiazdna noc, w której i czas zabłądził. Nie było bagażu doczesności, nie było bułek, nie było burczenia. Zniknął pociąg, gdzieś po drodze zagubił się cel podróży. Mnie też już prawie nie było, jedynie nad głową jakby niebo. Chciałem kołysać się do bezdźwięcznego rytmu tej próżni, w której do wieczności rozciągała się uczciwa rezygnacja: porzucenie bułek, podróży i jej celu. Chłonałem ten nieogarnięty spokój resztkami zmysłów. Ostatecznie może wszystko wypełnia pustka.

Współpasażerka w końcu zamknęła oczy. Stałem niepewnie na miękkich nogach, kurczowo trzymałem się spracowanego tysiącem łokci podłokietnika. Lampy straciły już wszelką nadzieję, to ramiona jaśniały. Szarość leżała na

podłodze, było cicho. Postój. Obawiałem się pytającego wzroku współpasażerki, jednak uczuciowy wyrok wydano na mnie spojrzeniem oznajmującym.

Pociąg ruszył. Wyciąłem hołubca, tanecznym krokiem ruszyłem ku ukochanej. Zająłem miejsce tuż przy niej, na wyciągnięcie białego jak śnieg ramienia. Miłość mojego życia bez reszty pochłonięta była trzymanym w lewej dłoni lustrem. Niestrudzenie szukałem jej wzroku, tak przecież zniekształconego srebrną taflą. Dokazywałem coraz to na nowe sposoby, byleby zwrócić na siebie uwagę. Pierwszy raz w życiu zagwizdałem nawet. Umówmy się jednak, że skuteczne tym koncertem zachęcenie współpasażerki do nawiązania romantycznego kontaktu nie świadczyłoby o niej najlepiej. Zachęcenie nieskuteczne - a takim się okazało - wzmocniło jedynie moją bezwarunkową miłość.

Robiło mi się coraz lżej. Usiadłem na dłoniach, by nie poderwać rąk do góry. Groził mi już zupełny odlot, wsadziłem nogi pod fotel. Nagle wybawienie balastu: rzucony w moją głowę bagaż doczesności. Przed lewitacją pod pociągowym sufitem uchroniło mnie celne oko nadchodzącego. Zapowiedziało go już wcześniej agonalne sapanie, które słychać było z drugiego wagonu. Niechlujne wąsiska, miotane astmatycznym wiatrem to w jedną, to w drugą stronę, rdzawym przebarwieniem wspominały jeszcze pewnie sporty. Bagażem doczesności miotał konduktor, bilety do kontroli.

Ukochana nie spostrzegła bezlitosnego, kolejowy terrorysta położył łapę na lustrze. Znaczone pasażerskim cierpieniem paluchy i srebrna tafla. Współpasażerka zamknęła oczy, spod powieki nadeszła krokiem żałobnym łza. Płacz jest, biletu brak. Chciałem wesprzeć ukochaną pełnym nadziei wzrokiem; ciężar uczuciowy mojego spojrzenia tak jednak ważył, że o mało nie ześlizgnąłem się na podłogę. Zresztą współpasażerka była i tak pozbawiona złudzeń. Oniemiały patrzyłem na miłość mojego życia, która wstała i wykonała w kierunku konduktora niedwuznaczny gest. Odda w naturze, zapłaci ciałem.

Gdy wychodzili z wagonu, nie protestowałem. Jeszcze długo słyszałem podniecone sapanie maszynisty, które leniwie pokrywał zamknięty za porysowanymi ścianami grzmot.

Zostałem sam. Za oknem płynęła rzeka krajobrazu. Ostrogi drzew rozpraszały zieleni, niekończąca się plaża nasypu dzieliła mnie od leśnych wirów. Niech mnie pochłoną! Ja ją, a ona z nim? Którędy na kładkę? Którędy do wirów? Przeciąg zawtórował mi wyciem, gdy świat współpasażerką opustoszał. Wiedziałem, że nie mam już nikogo, że każdy cel będzie od teraz śmieszny, że każda do tego celu podróż - tylko śmieszniejsza. Pozostało natychmiast uciec. Uciekać można przynajmniej od czegoś. Zapłakałem cicho.

Zwolniliśmy, za chwilę stacja; pomiędzy drzewami dojrzałem sarenkę. Śliczne to zwierzę patrzyło na mnie mądrymi, ciemnymi oczami. Skończona w swojej sarenkowatości, gotowa do skoku poprzedzonego zaciekawieniem wyłącznym dla zwierzęcego niepokoju. Zapraǳnałem podzielić zwierzęcy los, złamane serce skleić teriantropią. Spłakany wzrokiem poprosiłem sarnę o przyjaźń. Moje dłonie, złożone w błagalnym geście, gotowe były od zaraz ryc w leśnym runie. Sarenka jednak splunęła pod siebie i odbiegła, nieczuła na ludzki dramat.

Na stacji ostatni raz dane mi było zobaczyć kolejową miłość mojego życia. Widziałem jedynie jej lewy bok, bo zdecydowanym krokiem kierowała się ku pozostawionemu w tyle dworcowi. Dumną była ciemnooka. Podniesiona na prawdopodobnie krótkiej szyi głowa i zadarty, nieodgadniony w swojej spiczastości nos. Ślady w mojej pamięci, chociaż najwyraźniejsze, nie były jedynymi pozostawionymi tego dnia przez współpasażerkę. Każdy krok na betonowym peronie opisywała brunatna plama posoki zmieszanej z błotem. Kolejowa miłość mojego życia była cała we krwi; zniknęła za horyzontem okna, który uciął wszelkie pytania.

Igła dzieląca świat zwierząt i ludzi ukłuła mnie w palec. Posałem zranienie, zacząłem się uspokajać. W pociągu kołysało powoli. Sucha apatia otarła moje łzy, jak gąbka wchłonęła w siebie rzekę krajobrazu. Gdzieś tam pewnie biegła plaża nasypu, być może leśne wiry niestrudzenie się obracały. Postawili już pewnie nawet kładkę; ja po niej jednak nie przejdę. Okno pokazywało już tylko moje odbicie - czy był ktoś jeszcze w pociągu? Czy był ktoś jeszcze na świecie? Zresztą nawet optyczna obecność współpasażera trochę mnie przerastała. Nie mieliśmy o czym pogadać, wszelkie próby kontaktu ginęły w eterze ogniskowej. Przystąpiliśmy więc do pojedynku na mruganie. Od powidoków białych jak śnieg ramion groziło mi bowiem oślepienie.

Zmagalem się zawzięcie z przeciwnikiem. Chciałem jeszcze widzieć, a tu przy każdym mrugnięciu biel, że oko wykol. Upływały godziny. Coraz bardziej doskwierało mi suche oko, coraz mocniej mój krzywy nos drażniły czerstwiejące bułki. Ciężyła powieka, burczał brzuch. Sekundy dzieliły mnie od wygranej, gdy białe jak śnieg ramię wróciło do wagonu.

Konduktor niósł pod pachą prawą rękę pasażerki. W swojej kolejowej korupcji nawet mnie nie zauważył. Był z siebie wyraźnie zadowolony, sapaniem prawie śpiewał, szarpane wąsy groziły dezercją. Z niepewnym uśmiechem chciał już przejść obok, zamarł jednak. Bez żadnego ruchu, bez zwiastującego astmatyczną arię wzniesienia klatki nawet - patrzył. Powiodłem za jego wzrokiem, na siedzeniu leżało pozostawione lusterko.

Ze srebrnej tafli, naznaczonej hańbą paluchów, patrzyła na nas współpasażerka. Zwyczajne teraz jej oczy nosiły w sobie kpinę. Triumfowała nad nami, ale jak to - triumfowała? Biletu brak, ręki nie szkoda? Bilety drogie, czyżby kończyzna nie droższa? Patrzyłem z konduktorem na lusterko, czuliśmy się nieswojo. Obaj zawiedzeni, miłością oszukani, tragedią połączeni. Poczulem do pociągowego terrorysty niekłamaną sympatię, której szczerłość - jak to zwykle bywa - podpierało przekonanie o mojej wyższości. Sapiące pożądanie,

dziki żer na bezbronnych pasażerach, paluchy na tafli - czym były wobec mojego platonicznego dramatu? Złośliwym już wzrokiem próbowałem uszczknąć sobie triumfu z powierzchni lusterka. Patrzyłem: lusterko jakby przed chwilą wyznaczające ramy pięknej twarzy. Zrozumiałem: jeszcze wejrzenie temu trzymane lewą ręką.

Konduktor posiadał więc prawicę mańkuta. Zaczął kaszleć, pewnie się dusił. Wbiłem złośliwy wzrok w podłogę, to nie był czas na śmiałość. Sapanie zapowiadało jakby następny pociąg nadciągający z ciemnego tunelu, do którego najchętniej bym się zresztą przesiadł. Temperatura w wagonie zaczęła rosnąć, a wszystko pokryło się czerwienią rumieńca, gdyż konduktor palił raka. Najcichszy syk kropli na rozgrzanej twarzy oznajmił światu, że oto pociąg został świadkiem kolejnej łzy. Nie miałem już wątpliwości - ten przejaw człowieczeństwa zostanie przykryty aparatem systemowej opresji. Zasapana tragedia rozciągała się do niemożliwości, jednak w końcu zaskoczyły mechanizmy obronne, bilety do kontroli. Rak konduktora rozpałką pod moją kremację. Sięgnąłem prawą ręką do pustej kieszeni. Chciałem odwlec nieuniknione - bezsens zaprawiony praworęcznością.

Moja stacja. Wyszedłem na peron bez entuzjazmu. Za sobą miałem już długą podróż i uczuciową katastrofę. Przed sobą jeszcze pół świata do przejechania, nim znajdę się w miejscu, które z braku lepszego określenia nazywam domem. Na swojej drodze nie spotkam już tylko jednej współpasażerki, w jej miejsce wyrosnie stu konduktorów. A kończyny nie wyrosną. Bagaż doczesności, chociaż lżejszy o czerstwość niedojedzonych bułek, złośliwie uwierał mnie w lewe, ostatnie już ramię.